JEDNODNIÓWKA ABITURYENCKA



POZNAŃ 1903.

JEDNODNIÓWKA ABITURYENCKA

POZNAŃ 1903.

EVOE MŁODOŚCI!

EVVIVA L'ARTE!

Koledzy! Bracia!

Przyszła nareszcie upragniona chwila, chwila, której od lat dziecięcych wyczekiwaliśmy z utęsknieniem, a od roku – z obawą.

Nie każdy z Was, moi drodzy, zrozumie, o jakiej to myślę obawie, i dlatego zwracam się przedewszystkiem do tych, przed którymi jaśniej tłumaczyć się nie potrzebuję. —

Kiedy spojrzę na Wasze twarze blade, na czoła, które już tak wcześnie „myśl szczytna a smętna" powagą okryła, nienaturalną, przedwczesną powagą, to nie mogę się oprzeć uczuciu niekłamanej szczerej radości i dumy, że wzrosłem pośród Was, że w Was mam kolegów i braci! —

Tem więcej cieszę się i raduję, że marzenia te nasze, żywione od lat tylu, a od niedawnego czasu przyćmione cieniem obawy, spełniły się dziś!

Proszę mnie zrozumieć, nie posądzam Was o tę obawę, która, owładnąwszy każdym zakątkiem mózgu, wstrzymuje bicie tętnic i wbija w serca gwóźdź niemocy i bezsilności, a oczy otwiera szeroko, bezmyślnie, wpatrzona w szarą przestrzeń, pełną wizji potwornych; nie o taką obawę Was posądzam, ale to jest prawdą i tego taić nie myślę, że w każdym z nas wiła się po żyłach jakaś obawa, niepewność, albo raczej pewność jutra — nieszczęsnego, chociaż ta pewność nie odbierała nikomu energii ni chęci do czynu, tylko czoło zdobiła chlorotyczną bladością i przedwczesną powagą, pod której spokojnym pozorem serce silniej uderzało — chwilami przymierało... Dlatego też tem szczerzej, serdeczniej radować się nam dzisiaj, moi drodzy, i sercem całem Wam i sobie winszuję!

Wybaczcie jednak, jeżeli tę wesołą chwilę dzisiejszą zamącę Wam słowem poważniejszem. Prawo do tego daliście mi sami, a oprócz tego zmusza mnie jakiś popęd wewnętrzny, żeby w chwili, kiedy ostatni raz jesteśmy tu razem, przemówić do Was w myśli wzniosłej i sercu każdego z Was drogiej.

Zadanie nasze nie skończone, przeciwnie, od dziś, kiedy pęta nasze zluźnione — nie zdjęte niestety — pokazuje się oczom naszym

przyszłość pełna obowiązków świętych, ścisłych i trudnych, których nagrodą w dodatku, będzie może tylko gorycz i cierpienie, jeżeli nie — zawód... „Wiem, że Was srogość mąk nie przestrasza, jeżeli zmartwychwstać zechcecie," nie zakładajmyż rąk, pracujmy dalej przy jednym sztandarze wspólnym, sercem całem, duszą całą oddani jedynej matce naszej!... Nie umiem czułemi dźwięki zagrać na harfie dusz Waszych, dlatego powtórzę tylko nieśmiertelne słowa wieszcza:

„Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
„I przed narodem niosą oświaty kaganiec,
„A kiedy trzeba, na śmierć niech idą po kolei,
„Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec."

Były i będą zawsze i wszędzie jednostki, które nie czują i nie wierzą, nie kochają wspólnych ideałów. Bodajby ich między nami jak najmniej było, bodajby liczba ich z dnia na dzień malała i nikła, bo oto dziś wyciągamy i do nich dłoń do bratniego uścisku wołając: „Razem, młodzi przyjaciele! razem, pod jeden wspólny sztandar, sztandar nasz!" Hej, ramię do ramienia, spólnymi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko, zestrzelmy myśli w jedno ognisko, i w jedno ognisko duchy!- - - - - - - -

- -

- -

Wiszar...

NUOVA VITA.

NOWEGO ŻYCIA DZIŚ SIĘ ROZWARTY PODWOJE
PRZESTĄPMY PRÓG Z NADZIEJĄ W SERCU I ODWAGĄ,
NIE CZEKAJĄ NAS CICHE SPOKOJU OSTOJE.
A ZWĄTPIENIE LUDZKOŚCI BÓLEM JEST I PLAGĄ.
NIECH NAS WIODĄ PODNIOSŁE NARODU SZTAN-
[DARY,
LEGION STWORZYM KONRADÓW WIELKI I NATCHNIO-
[NY;
I ZOBACZY NARESZCIE ŚWIAT CAŁY ZDUMIONY,
ŻE DĄB ZNOWU MOCNEMI SIĘ SZCZYCI KONARY!

KOTWICZ.

Sławo, czczy dymie!..

Wieczór był dziwnie niespokojny, jakby smutny czegoś i wystraszony...
Czerwone jak strumienie krwi promienie zachodzącego słońca zapaliły chmury swą czerwonością i ogniste języki pożaru rozlewały się po znudzonym firmamencie...
Ostatnie promienie słońca, jak strumienie krwi czerwone, rzucały krwawą łunę na leniwe ugory, zakrwawiły fioletowe zagony zoranej ziemi, rozciągnięte tuż pod borem świerków i sosen, których wierzchołki gorzały krwawym płomieniem...

Na skraju lasu widniała ścieżynka, wązka, zazieleniona kępkami trawy, zakrwawiona pękami maków polnych, tem czerwieńszych, bo zabarwionych łuną ognistych zórz. Na ciemnem tle fioletowych drzew jaśniała jakby plama czerwona sukienka dziewczęcia, a obok niej widać młodzieńca obejmującego ramieniem kibić jej wysmukłą --- A nad nimi szumią smutne listki brzozy płaczącej, szumią akordem smętnym, łzawym, ponurym jak cała ta ziemia, zakrwawiona czerwonemi blaskami, jak te ciemne zagony rozoranej gleby, jak te piaski smętne, porosłe żółtym łubinem. Stał chłopiec przy dziewczynie, a ramieniem obejmował kibić jej wysmukłą... Jego ciemne, wyraziste oczy jaśnieją blaskiem radosnym, dziwnie odbijającym od tego smutku ściętych rzęs, od całego, cmentarnego otoczenia. A ona ciemną główkę opiera o jego ramię, rozmarzone źrenice patrzą w krwawą łunę gasnących zórz, a uchem łowi każdy dźwięk jego głosu, zasłuchana w cichą, rozkoszną melodyję jego słów:

— A zatęsknijżeże za mną choć trochę, moja ty droga! Ale ja wrócę, wrócę, i sława będzie...

— Będzie?..

— I miłość będzie...

— Będzie?...

W tej chwili gasnące słońce schowało się za chmurę, wiatr poruszył silniej gałązkami brzozy, a listki jej więdnące zaszumiały żałośnie. Długo.......

- -

Na peronie ruch i gwar niezwyczajny. - Krzyki tragarzy i nawoływanie konduktorów mieszają się z pożegnalnemi, urywanemi słowami osób, zalegających peron, z przeciągłym świstem lokomotywy, mającej za chwilę unieść w dal jeden mały świat marzeń złotych i snów... Przed drzwiami któregoś wagonu stoi grupa osób; między niemi czerwieni się sukienka dziewczyny wysmukłej, a z wagonu wychyla się ciemna głowa młodzieńca o błyszczącym oku, wpatrzonem uporczywie w niebieskie łzawe oczy dziewczęcia...

Ostatni odgłos świstawki, pociąg ruszył zwolna..

A on stał i patrzał w oczy dziewczyny, smutne, bezdennie smutne.. I nie widział pożegnalnych ruchów dłoni stojących na peronie osób, nie słyszał ostatniego „Do widzenia", widział tylko ją, jej oczy błękitne, potem tylko twarz jej bladą, potem tylko postać jej wysmukłą, w końcu tylko plamę czerwonej sukienki....

A ona stała bez ruchu, bez słowa, tylko patrzyła za odlatującym snem tak tęsknie, tak smutnie

- -

Minęło lat wiele --
Obiecujący młodzieniec stał się mężem sławnym.
Tłumy oglądały się za nim na ulicy z uwielbieniem, ze czcią prawie.

A on szedł dumnie, błyszczącem okiem spoglądając na korzące się tłumy, przechodził wśród nich pewny siebie, śmiały, poważny, piękny ---

Szedł właśnie na bankiet, wydany na jego cześć. I kiedy tak patrzył wokoło okiem pana i zwycięzcy, spotkało się spojrzenie jego z parą oczu błękitnych, uporczywie w niego wpatrzonych.

Mimo niego przechodziła jakaś kobieta w czerni, w żałobie. Spojrzał jej w twarz ---
Gdzie ową widział? Przypomina sobie coś przez mgłę ale kto to był?... Odwrócił się, potem machnął ręką i poszedł dalej. Ale cały wieczór postać kobiety stała mu przed oczyma. Twarz blada, zabarwiona lekkim żółtawym odcieniem smutku, ślady nocy bezsennych, cała postać jakby umęczona, ocieniona żałobą tylko oczy dziwnie błękitne, choć przygasłe i smętne, z jakimś niepojętym wyrzutem wpatrywały się w niego ---

Prawie nie słyszał banalnych toastów, wielbiących „naszego genialnego artystę", nie słyszał szmeru uwielbienia, nie widział wyciągających się do niego rąk, bo uporczywie

wpatrywały się w niego przygasłe, mętne źrenice błękitnych oczu.

Późno wrócił do domu. Zamyślony usiadł we fotel i dumał... A z ciemnego kąta pokoju patrzały na niego dziwne oczy...

Nagle uderzył się dłonią w skroń.

— A!!.. to ona — aha, ona ....

I przypomniał sobie dziewczę wysmukłe z kosą ciemnych włosów, o oku błękitnem, i przypomniał sobie chwilę, kiedy się z nią żegnał tam na skraju lasu przy zachodzie słońca, i przypomniał sobie tę chwilę, kiedy ją ostatni raz widział na peronie dworcowym. To było raz ostatni ... Prawda, on ją kochał, kochał bardzo... A dziś!..

— Hehehe! pobiera mię sendymentalność rozmarzonego gimnazyasty, hehe! — I cóż z tego, co było, minęło i — i nie wróci!..

— Nie wróci, odpowiadało echo pustych kątów pokoju — nigdy —

— I cóż, że nie wróci nigdy!..

— Nigdy — powtarzało smętnie uporczywe echo...

Nic z tego, a jednak, jednak...

I nagle, w jednej chwili, uczuł dziwną, bolesną zmianę w duszy...

Zbrzydło mu życia dotychczasowe, zbrzy-

dała mu sława, zbrzydły banalne szmery podziwu i stereotypowe recenzye w Dziennikach. Sława nie dała mu chwili zadowolenia, bo każdy nowy oklask budził w nim coraz większą chciwość rozgłosu, rozmamiętniał jego miłość własną i chociaż pchał go ku słońcu, nie oświetlał mu wnętrza duszy tem bladem, łagodnem światłem spokoju i szczęścia. Szczęścia! hehe, czy miał on kiedy choćby tylko mdły odblask szczęścia, czyż miał choćby tylko jedno mgnienie oka pięknego złudzenia? Tak, miał je, miał wtenczas, kiedy kochał --- potem zapomniał i o niej, --- i o szczęściu ---

Zasunął powieki, nie chcąc widzieć tej szarej, milczącej pustki, której on nie umiał, zapomniał ożywić, zapełnić ---

A para błękitnych, zamętnionych od łez i smutku oczu patrzała mu w duszę głęboko, głęboko ---

I był tam gdzie być chciał, u szczytu Parnasu, opromieniony rażącem, oświetlającem światłem sławy, zwieszającej się w promiennym zachwycie nad jego głową, i sławę miał --- ale szczęście — nie umiał go pochwycić kiedy go mijało z uśmiechem zwodniczym, a teraz — minęło — i już nie wróci nigdy, nie wróci -------------------

Wschodzące słońce całą pełnią złotego światła zalało ściany pokoju, ozdobiło złotym konturem gustowne mebelki, igrało złotemi promykami po błyszczącej ramie weneckiego lustra, rzucało świetliste plamy na wspaniałe gobeliny, a on jeszcze siedział w krześle, cały skąpany w blasku, a oczy jego bezsenne patrzały bezmyślnie w szarą otchłań przeszłości...

Ormuzd.



Cmentarz wiejski

Cisza. Lekko się chwieje cmentarna topola
I liść kołysze drżący, a płacząca brzoza
Krople deszczu wylewa na umarłych pola,
Na mały cmentarz wiejski; jakaś dziwna groza

Wieje z tego pagórka, z tych żółtawych grobów,
Co otaczają wieńcem krzyż z drzewa pochyły.
Ten cmentarz, to mieszkanie strasznych śmierci [bogów,
Bladolicej Marzanny łożem te mogiły.

Ona skryta za drzewem, czeka na pogrzeby
I każdą chłopską trumnę krwawą wita chustą
Potem zmarłych prowadzi na rodzinne gleby,
Do chaty, co żałosna pozostała pustą.

Kotwicz.

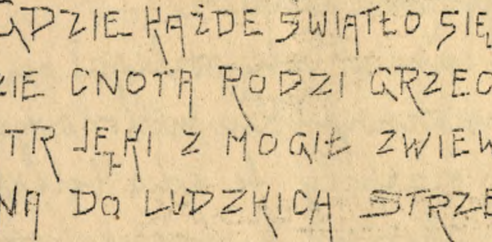
SMUTEK.

A MNIE TAK TĘSKNO W DUSZY,
GDY PATRZĘ NA TEN ŚWIAT
GDZIE KAŻDY DŹWIĘK SIĘ GŁUSZY,
PRZYMIERA KAŻDY KWIAT!

GDZIE KAŻDE ŚWIATŁO SIĘ PRZYĆMIEWA,
GDZIE CNOTA RODZI GRZECH
WIATR JĘKI Z MOGIŁ ZWIEWA
I GNA DO LUDZKICH STRZECH!

I NIE WIEM CZEMU W SERCU ŻAL,
GDY ZIMNO WIONIE Z CIEMNYCH HAL,
A SMUTEK W SERCU WSZYSTKO GŁUSZY
I TAK MI WTENCZAS TĘSKNO W DUSZY!

RDZAWICZ.



Obca echa.

Kwiat, choć zwiędnie,
Znów zakwitnie:
Miną zimy srogiej dreszcze;
Z wiosną słowik nam powróci
Lecz czy Ciebie ujrzy jeszcze?

Kołwicz.

ŚPIEWAK LUDZKOŚCI.

Na przepastnych urwiskach na brzegu czarnych jezior błądziła jego dusza, spowita w czarne tęcze wszechbolów i cierpień...

A tam pod nim w dole rozlegał się tysiąckrotnem echem skowyt bólu milionowych tłumów.

I duszę jego szarpały te echa bolesne, brzmiące wściekłym akordem bezbrzeżnej rozpaczy i nieskończonej boleści...

Czyż nigdy ludzkość nie zaśpiewa radosnego hejnału szczęścia? Czyż nigdy Dobro i Rozkosz nie zakwitną na ziemi, czyż wiecznie po czarnych mogiłach stąpać ma Śmierć zimna, okrutna?.. A ten dziki, rozpasany skowyt wszechbolu nie ustanie nigdy?..

Tysiące ludzi już życia zło wskazało, a Szczęścia ni Dobra nie stworzył dotąd nikt?....

I wieczna przepaść, wieczny rozdźwięk między tem co daje i co śni życie!..

A po nad tym tłumem nędznym, tarzającym się w dzikich orgiach rozpusty, mającej zagłuszyć ohydny skowyt szalonego bólu, rozlega się dziki, rozpustny śmiech i świecą czerwone oczy szatańskiej ironji...

O Życie!.. Pustka, Ironja, Śmierć, Milczenie - - -

Światła!! Przestrzeni!! Szczęścia!!..

O przyjdź bogini światła i szczęścia, przyjdź jedyna, o Lakshmi, przyjdź!

. . . .

Tak dumał nieszczęsny śpiewak ludzkości, i duszę jego szarpały te echa wyjące wściekłym akordem bezbrzeżnej rozpaczy i namiętnego bólu...

A kiedy dusza jego wróciła z nad czarnych jezior i urwistych przepaści, zeszedł z nią razem z czwartego piętra na dół między tłum nieszczęsny, w duszną atmosferę bufetu i kawiarni, wmieszał się w dziką orgję rozpasanych żywiołów, i — wypił jeden puhar absyntu, potem drugi, trzeci...

A w głowie mu szumiało w tysiącznych wibracjach wielkie „prawycie wszech-bólu w prabycie wszechludzkości pozaświatowych"...

A przed oczyma duszy jego kazały się jakieś postacie w szalonych orgiach, szalonych wizyach, w kurczowych podrzutach, krzycząc w wielkiej agonii bólu:

— Światła!! Przestrzeni!!

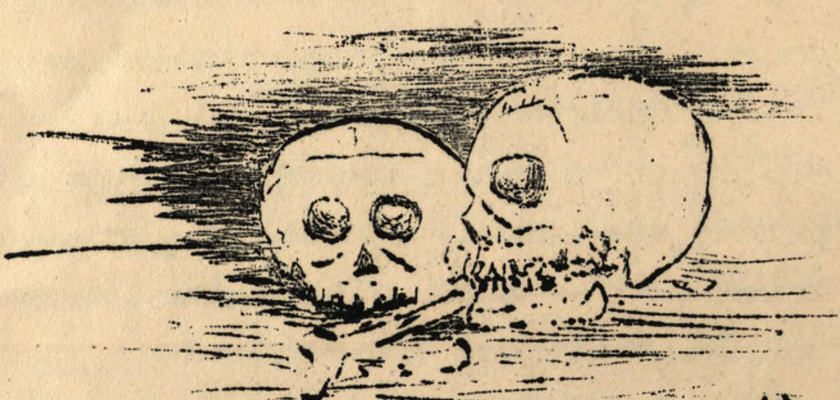
O przyjdź bogini światła i szczęścia, błogosławiona, jedyna, o Lakshmi przyjdź!!...

— Czego się drzesz? — spytała figlarna, zalotna, „różano-gęba" Afrodyt nowoczesna, i równocześnie siadłszy mu na kolanach, oplotła jego szyję gorącemi ramiony...

Spojrzał na nią wzrokiem zamętnionym od nadmiernego użycia absyntu, i zaledwie zdołał wybełkotać słowa:

— O Lakshmi, o błogosławiona, przyszłaś nareszcie! Dzięki ci!...

Ariman.



Książę Pchła

(Goethe: Faust, Auerbachs Keller).

Żył w dawnych czasach książę,
Co miał olbrzymią pchłę,
Do niej go miłość wiąże,
Ją pieści jak dziecię swe.
I krawców król wybiera,
Co modny znają krój:
„Uszyjcie dla panicza
„Wspaniały, świetny strój!"
I księcia wnet ubrano
W atłasy, czapkę z piór,
Wstęgi i krzyż mu dano
Był elegantów wzór.
Jako ministrów głowa
Order dostaje lwa
Z nim, jego „familia nova"
Przy dworze rolę gra.
Szlachta, panowie, panie
Dotkliwy wnet czują ból,
Królowę drapie kąsanie,
Kąsanie odczuwa król.
Biedni, nie mogli się drapać,
Złych gości usunąć precz...
A który musi się drapać,
Toć znana każdemu rzecz!

Hugon Lew.

SYNY PROMETEUSZA.

Henryk pisze dramat!

Fakt ten wydawał się nam po prostu anormalnym. Ten „osieł", co ogólnie uchodził za symbol bezdennej głupoty, rzeczywiście idąc za jakimś popędem pisał dramat „Syny Prometeusza". Początkowo praca jego nie postępowała dużo naprzód, bo równocześnie tłumaczył „Rosmersholm" na polski język z niemieckiego tłumaczenia. Dopiero konkurs ogłoszony w Krakowie (nagroda 500 koron!!) pchnął go do gorliwej. Miał jeszcze całe cztery miesiące czasu, lecz już po dwóch tygodniach rękopis czekał tylko jeszcze na staranne przepisanie. Żmudna ta praca po kilku dniach ukończona i cały kwartał przed oznaczonym czasem komisja konkursowa otrzymała jako pierwszy nadesłany dramat „Syny Prometeusza", motto: „Wzlećmy ku słońcu jak Ikary". Długie miesiące denerwującego oczekiwania były dla Henryka męką, „co na wielkie losy cienie rzuca". Jeżeli odeszlą dramat jako nieudolny? Czy nie lepiej byłoby wtedy dla niego otworzyć pobis żyły, ręce trzymając w letniej wodzie? A jeżeli będzie nagroda? I na ten temat cudownie marzył...

Cóżby wtedy powiedzieli ci, co go mieli za głupiego, i ci co go uważali za niedołęgę, i ci co się od niego zupełnie odsunęli!!

Pierwsze przedstawienie, on ma tremę, ale nie wielką, wszak wie, pierwsza nagroda, niepodobna żeby się nie podobało!..

Nastrój uroczysty, świąteczny, po pierwszym akcie burza oklasków, kwiaty, kwiaty, wieńce..

„Ona" uśmiechnięta i uradowana bije brawo, ona, jego jedyna, jego ideał, jego Marynia!..

Tak, Marynia będzie na pewno, może on sam pośle bilety ...

Chorobliwa jego fantazja jakby odebrała mu resztę rozumu. „Po prostu sfiksował", mówili koledzy, profesorzy wskazywali mu coraz częściej na czerep. Aż przyszła odpowiedź, przyszedł list od jury konkursowego: „Rzecz nieudolna i nieoryginalna"..

List rozwiał jego marzenia jak wicher liście powiędłe...

Lecz charakter autora nieudanej tragedji nie wyolbrzymiał bólem, oh nie, pierwsze dni chodził jak pijany, później oswoił się zupełnie z myślą, że nie jest dramaturgiem, i dziwna rzecz, zaczął robić w klasie znaczne postępy. Dziś jest radcą, sprawiedliwości, posłem do parlamentu, członkiem

zarządu „Towarzystwa ochrony zwierząt,” od czasu do czasu śmieje się z swych „wzlotów Ikara,” on, syn Prometeusza, i gromadce dorastających synów powtarza przynajmniej dwa razy na tydzień: „Nie palcie papierosów, nie piszcie dramatów...”



Na wyspie.

Jakiś dziwny, niewytłumaczony urok miała ta wyspa. Chodziłem co dnia na brzegi jeziora i tęsknym wzrokiem wpatrywałem się w odludną wyspę i pchała mię moc nieprzekonana, żeby zbadać ją dokładnie i dołożyć cegiełkę do wielkiego gmachu pracie[mno]ty, u którego szczytu widnieje wspaniały napis: „Nauka”... (Napis coprawda więcej uprawniony niż „Naród sobie” nad żydowską kawiarnią na Berlińskiej, ale to

nie należy do rzeczy.)

Dość że tajemniczość wyspy skusiła mię i pewnego pięknego popołudnia wybrałem się łódką na zwiady. Niestety, wszystkiego złego na ziemi początek — kobieta! Tak było i ze mną: wszystkie marzenia o odkryciu nieznanej, egzotycznej flory i secesyjnej fauny musiały się rozwiać w nicość, bo w łodzi ze mną razem była kobieta!..

Z początku wszystko było bardzo ładnie i dobrze. Łódka chyżo mknęła po szklistej fali jak cichy łabędź Lohengrina, a promienie słońca złociły perliste krople wody opadające z wiosła. Niedługo trwało, kiedyśmy wylądowali, dość długo jednak, żeby przy boku „wietrznej istoty" zapomnieć o właściwym celu podróży.

„W twoje cudne, cudne, cudne oczy
„Kiedy patrzy, wstrzymuje się słońce!

Ach te oczy, te oczy! Widziałem w nich rozkosz, widziałem słodycz, widziałem wszystko czegom dotąd pragnął!..

A com do niej mówił, nie pamiętam już dzisiaj ale to pamiętam, że owa chwila na wyspie, to jedna z najpiękniejszych chwil w mem życiu!.. Niestety, „respice finem!" Słońce już dawno zakończyło swą podróż

naokoło świata i na ciemnem tle niebios ukazała się uśmiechnięta, głupkowata fasada pyzatego księżyca. Czas wracać do domu, już późno — zbliżamy się do przystani, wtem — o nieba! zdradliwy wietrzyk zakołysał łódką, która, niezdarnie przywiązana urwała się nagle i pomknęła na wodę, o jakie dziesięć kroków od brzegu! Vogue la galère! —

O rozpaczy! co tu robić? co robić??

Ciemnooka towarzyszka patrzyła smutnie na kołyszącą się łódź i na białe kwiaty nenufarów, odbijające od ciemnej tafli jeziora.

W oczach jej rozpaczy bezdennej, a ja, pramazgaj, ja który marzyłem o odnalezieniu ukrytych run, nie umiałem pomóc! —

Zaczęliśmy wrzeszczeć w niebo-głosy, w nadziei, że ktoś z przeciwnego brzegu usłyszy, ale nic, cisza dokoła, noc jasna!

Nagle mojej towarzyszce przyszła do głowy myśl godna zaiste „wietrznej istoty!" —

— Woda nie głęboka... tylko kilka kroków... wiesz Pan co, przenieś mnie Pan do łódki! ...

Trzeba było widzieć moją fasadę...

Szkoda że jej nie widziałem, byłby cudowny typ praidjoty! Ale, t. j. moja Dulcinea, czuła się uszczęśliwioną genialnością

wynalazku.

— No odwagi, no — — mój złoty, mój drogi.. no, proszę, ja bardzo proszę! —.

Zaczęła mi się wieszać u ramion. Powoli głupiałem.

— Przecież nie mogę zamaczać kamaszków, chyba że mi — — droga — — Pani poniesie kamaszki w ręku! — dodałem po chwili namysłu.

— Ależ, jeżeli tylko o to chodzi! Z przyjemnością!

— I — — i skarpetki?

— I skarpetki!

Ooo! czar zniknął — —

Po chwili niosę drogi ciężar, powoli zbliżam się do łodzi, tymczasem woda sięgała coraz wyżej a nankinowe inekspresymable zaczęły się usuwać i maczać. Biedne one!

Już jesteśmy blisko łodzi, kiedy nagle usłyszałem głośny plusk żaby. Wiecie że jestem nerwowy, nic więc dziwnego, że zląkłem się, przytem na szlamistym gruncie noga się poślizgnęła i ja, który miałem pretensye czytać „ukryte runy" przyrody wyspy, ja, prawnuk, usiadłem, literalnie usiadłem na ziemi, alias w błotnistem jeziorze. Rozumie się że moja Lukrecya z przeraźli-

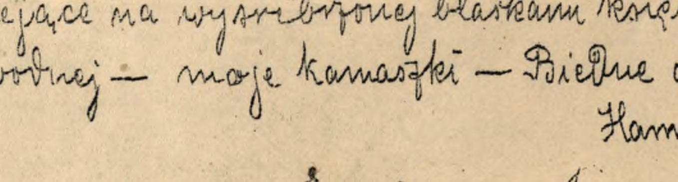
wym kwikiem osunęła mi się z ramion i zajęła miejsce obok mnie. Rwetes i kwik nie do opisania. A co za blama! O rozpaczy. Zdaje mi się że sam Macduff na wieść o śmierci żony tak nie rozpaczał (przynajmniej na scenie poznańskiej,) jak ja, kiedy oglądałem siebie i ją, ją i siebie w tym mokrym żywiole i zimnym! — Ale cóż pomoże rozpacz, tu trzeba czynu! Po krótkim namyśle zdobyłem się na szczytową energię. Kiedy już tak daleko zabrnąłem, to mogę brnąć dalej, wszedłem więc do wody po raz drugi, przyciągnąłem łupinę do brzegu, siedliśmy zmoczeni i zziębnięci, i — vogue la galère!

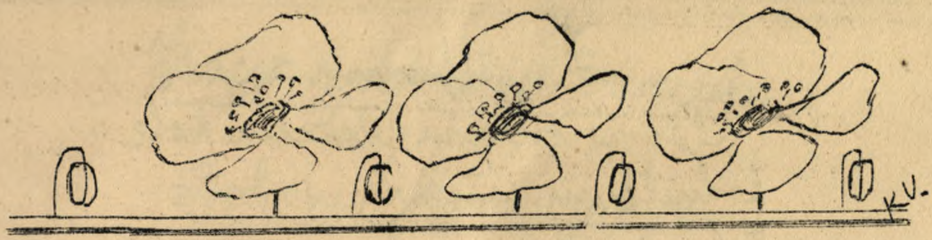
Wtenczas dopiero przyszło mi na myśl, że byłbym to mógł uczynić zaraz, a nie dźwigać ciężaru, który mię przyprawił o utratę równowagi w wodzie. Widocznie działałem w gorączce!..

Spojrzałem ku brzegom, Księżyc ze swoim idjotycznym uśmiechem wpatrywał się w nas jakby z ironją i oświecał smutne miejsce wypadku...

Zdala widać chwiejące się główki nenufarów i czerniejące na wysrebrzonej blaskami księżyca tafli wodnej — moje kamaszki — Biedne one!

Hannibal.





TANIEC SZKIELETÓW.

W STAREJ BARCE NA MORZE PŁYNIE RYBAK
[STARY,
ZWIĘDŁĄ TWARZ MU OKALA SIWYCH WŁOSÓW
[WIENIEC,
Z ŚMIERCI PRZECZUCIEM WODY PRZECINA —
[SZALENIEC
TAŃCZĄ MU PRZED OCZYMA FANTASTYCZNE
[MARY.
CORAZ WYŻEJ SIĘ PIĘTRZĄ SPIENIONE
[BAŁWANY,
WYJĄC ŚMIERCI HYMN GŁOŚNY, GŁOŚNĄ PIEŚŃ
[ZNISZCZENIA,
AŻ SZKIELETÓW SIĘ ZJAWIA TABUN ROZHUKANY
I NAOKOŁO STARCA POCZYNA SWE PIENIA,
I POCZYNA SWÓJ TANIEC. RYBAK ZAPŁAKA-
[NY
RZUCIŁ WIOSŁA, BO W SERCE WTARGNĄŁ
[ZGRZYT ZWĄTPIENIA.

MESTWIN.



Z albumu.

Gdy w cierpień błędnem kole
Źrenice się załzawią
Trawiące duszę bóle
I serce Ci zakrwawią
Cierpienia serce zaczną rwać
I rozpacz w duszy będzie łkać,
O nie mów wtenczas: Boga niema!
Lecz ręce do modlitwy złóż
Podziękuj Bogu za cierpienia
Bo bez cierni niema róż
I światła niema bez cienia!..

Gdy wizye szczęścia
Serce rozpłomienią,
Radości błyski
Duszę opromienią
Rozkoszy bóstwa z słonecznemi
Blaskami w oczach, z ciałami z promieni
Szczęścia pełen przyniosą Ci kruż.
Znów ręce do modlitwy złóż,
Proś Boga wówczas o cierpienia
Bo bez cierni niema róż,
I światła niema bez cienia!..

Rdzawicz

Kącik zwietrzałych dowcipów
czyli
Bolesna Humorystyka.

Idyla z menażeryi.

Fig 1. Oto bocian długonogi
W swym białowo czarnym stroju
Wygląda jak gigerl srogi
Według najnowszego kroju
I jak najmodniejszej mody
Żyje głównie koło Środy.



Fig 2. To girafa, trochę kuła,
Gdyż jest młoda; każdej chwili
Najmilszą jej jest obuła.
Długość jej dojdzie pół mili.



Fig 3. A teraz proszę wziąć lupy,
Patrząc na tę małą żabę,
Żyją zawsze dwie do kupy,
A Marchew sprawia jej łabę.



Fig 4. Z pewnością panowie wiecie,
Że niedźwiedź śpi tylko zimą.
Lecz ten nasz śpi także w lecie,



Więc nie jest wiązany liną;
Nowa budka tego gacha
Wyszła właśnie z rąk stelmacha.

Fig 5. Ten szczur co się z książką biedzi
Chcąc pożerać jej stronnice
I skurczony w kącie siedzi,
Pruską zapełnia granicę;
„Simson ater" Brehm go zowie
Mądrej głowie dość na słowie.



Fig 6. Baczność, baczność, cicho, cicho!
Nie więzim tam czasem byka?
Nie, gorsze tam siedzi licho,
Wsadziliśmy tam krytyka.
Trzeba mu czasem i bata
A nosi imię — Ułata!...



Tadeusz Kościański.

Finale.

Jako od wichru trzcina złamana,
Siedzi w swej norze małpa z Kościana,
Siedzi nad książką i się mozoli,
Choć od siedzenia już — głowa ją boli.



K.U.

Od Redakcji.

Poproszony o współudział przy pomnikowem naszem dziele ceniony przez wszystkich kolega Theodor Simon wykuł jak z granitu początek wspaniałego rapsodu:

Ja i mój szwagier
Nosimy czapką na bakier.

Kolega Ireneusz Wierzba dał tylko tytuły całego cyklu bajek:

1) Jeż i Dąb
2). Feluś i Wójt.
3). Jak się Janosik oparzył polewką na lodzie — zakopiańska bajka.
4). Ciesielskie guzy i żydowski nos Karola Radka.

Uczony nasz filozof Dr. Stelma-Stelmacher nadesłał rozprawę naukową: „Profesor Kazimierz Jamnik i Logika."
Poprzestajemy na podaniu treści:
Gdzie „Logika" — tam prof. Jamnik,
gdzie prof. Jamnik, tam „Logika"

Znakomity znawca ludu, mianowicie jego piękniejszej połowy, docent Michał Chrzanek napisał nowelkę ludową: „Co wójtówna wiedziała o Kossucie, czego o nim nie wiedziała"

Luźne myśli, satyry, aforyzmy i preludja.

Ta nasza.

Motto: Dziewczę z buzią jak ~~maszyna~~ malina.

Dziś u Keilera wielki bal,
Więc „nasza" panna bierze szal,
W rączkę ordery, masę wstęg,
A w modne włoski kwiecia pęk.
Stanowczo „nasza" dziewczę jest jak kwiat.
W całym wdzięku swych szesnastu lat.
Więc Amor, miłości młody bóg,
Całą „naszej" rzucił młódź do nóg.
W tańcu rozrywana
Wszędzie podziwiana,
Jedną tylko wadę ma
Lecz o tem — sza!
(przynajmniej w „Jednodniówce").

Pod adresem panien poznańskich.

Przez pomyłkę wkradł się straszny błąd do tytułu, także przez nieuwagę apoteozę tę panien naszych umieszczono między satyry, za co przeprasza autor i zecer Jerzy Migdał.

Zagadka 1.

Na imię jej Zocha, piękna, więc każdy ją kocha,
Zwłaszcza jednak pan Jan, znany wszystkim gałgan.
Kto to?

Zagadka 2.

Poznań dużo pięknych Dziewcząt ma,
Ale żadna nie tak piękna, jest jak ta,
Co ma „à la Hajduczek" włoski,
Nosząc nosek, nosek grecki, wprost boski,
Oj, Dziewczyna to niczego, non nego,
Każdy od niej coś wycierpiał przykrego,
Faworytką jest brunetów, smików,
I Apolla dziatwy męskiej.

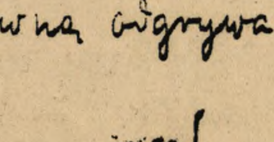
Ktoto zmów?

Do wyżej opiewanych panien, nie panien tylko bogiń, nimf, rusałek, liryk nasz Kolega Romeo, piszący pod kradzionym pseudonimem Jeia, chciał dołączyć sylwetkę jakiejś Matyldy czy też Balbiny. W decydującej chwili twórczość jego zdobyła się na wspaniały początek:

Tyś dziewicą jest jak łania,
później następują tylko końcówki, więc:

łania – spania
bania – spania,
kochania – spania.

Sen zdaje się u autora jak i u opiewanej różyczki główną odgrywa rolę.



Przedsłowie Dekadenta
do pierwszego tomiku.

Pst!!! Psst!!!
Słuchaj szaleńca co z pieśnią ponurą
Jak orzeł zraniony szybując nad górą
Po raz ostatni zajęknie ponuro,
Nim złamie pióro
Psst!!! Pst!!

Leliwa.

Z sali balowej (autentyczne).

On: Zna Pani „Szał" Podkowińskiego?
Ona: Znam, nawet dwa razy czytałam.
Tak, tak. Gegen ihre Dummheit kämpfen Götter (to znaczy = my) selbst vergebens!

